

JOHN
GRISHAM

ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH



Jedna z najlepszych książek Grishama!

Rozdział 1

Twarz Nicholasa Eastera częściowo zasłaniała sklepowa półka z telefonami bezprzewodowymi i nie patrzył wprost w obiektyw zamaskowanego aparatu, ale nieco w lewo, może na klienta, a może na otoczony dzieciakami kontuar z najnowszymi gramy wideo z Azji. Mimo że ujęcie zrobiono z czterdziestu metrów, a fotograf musiał się zмагаć z ludzką falą przelewającą się przez galerię handlową, pokazywało jak na dłoni miłą, starannie ogoloną twarz o wyrazistych rysach, promieniejącą chłopięcym urokiem. Easter miał dwadzieścia siedem lat; ustalili to ponad wszelką wątpliwość. Nie nosił szkieł. Ani kolczyka w nosie, ani niedorzecznej fryzury. Nic nie sugerowało, że mógłby być jednym z typowych maniaków komputerowych, którzy stojąc za ladą, zarabiają pięć dolców za godzinę. Jak widniało w kwestionariuszu, pracował tam od czterech miesięcy i studiował wieczorowo, chociaż na to drugie nie znaleźli żadnego dowodu, w żadnej uczelni w promieniu pięciuset kilometrów. Kłamał, byli tego pewni.

Musiał kłamać. Mieli za dobre rozpoznanie, żeby się mylić. Gdyby studiował, wiedzieliby, gdzie, od jak dawna, jak dobrze mu idzie – albo jak marnie. Wiedzieliby. Był sprzedawcą w Komputerowej Chacie w galerii handlowej. Nikim

więcej. Może miał zamiar gdzieś się zapisać. Może rzucił studia, ale lubił sobie wyobrazać, że jest inaczej. Może dzięki temu lepiej się czuł, miał cel, mógł czymś błysnąć.

Ale nie studiował ani teraz, ani w niedawnej przeszłości. Nigdzie. Stąd pytanie: czy można mu ufać? Przerobili to dwukrotnie w tym pokoju, za każdym razem, gdy dochodzili do jego nazwiska na głównej liście, a jego twarz pojawiała się na ekranie. Uznali właściwie, że to niewinne kłamstwo.

Nie palił. W sklepie obowiązywał całkowity zakaz palenia, ale widziano Nicholasa (choć nie uwieczniono tego na zdjęciu), gdy jadł taco w części restauracyjnej w towarzystwie koleżanki z pracy, która do lemoniady wypaliła dwa papierosy. I chyba nie cierpiał z tego powodu. Więc przynajmniej nie był antynikotynowym faszystą.

Na fotografii demonstrował szczupłe, opalone, lekko uśmiechnięte oblicze; nie szczyrzył zębów. Biała koszula pod czerwoną marynarką sprzedawcy, prosty kołnierzyk, dobrany krawat w prążki. Wydawał się schludny, w formie, a osoba, która zrobiła zdjęcie, dodatkowo zamieniła z nim parę słów pod pretekstem, że szuka pewnego staromodnego gadżetu; według jej relacji, Nicholas okazał się elokwentny, chętny do pomocy, zorientowany. Miły młody człowiek. Nosił identyfikator z napisem *Z-ca kierownika*, ale tego dnia dwaj inni pracownicy sklepu mieli takie same.

Dzień po tym, jak zrobiono zdjęcie, sklep odwiedziła atrakcyjna młoda kobieta w dżinsach i przeglądając programy komputerowe, zapaliła papierosa. Tak się złożyło, że Nicholas Easter był najbliższym sprzedawcą, zastępcą kierownika – jak zwał, tak zwał – i uprzejmie zwrócił się do niej, prosząc o zgaszenie papierosa. Udała, że jest tym urażona, nawet obrażona, i próbowała wyprowadzić go z równowagi. Równie taktownie jak wcześniej wytłumaczył jej, że w sklepie obowiązuje ścisły zakaz palenia. Jeśli tylko ma na to ochotę, może palić gdzie indziej.

– Palenie ci przeszkadza? – spytała, zaciągając się papie-

rosem.

– Mnie niezbyt, ale właścicielowi sklepu tak – odparł i jeszcze raz ją poprosił, by przestała palić.

Wyjaśniła, że jest serio zainteresowana kupnem radia cyfrowego, więc może znalazłby jej popielniczkę. Nicholas wyczarował spod kontuaru pustą puszkę po jakimś napoju, odebrał od klientki niedopałek i sam go zgasił. Dwadzieścia minut dyskutowali o odbiornikach, które sklep miał w ofercie. Bezwstydnie flirtowała, a on podchwycił jej grę. Po dokonaniu zakupu zostawiła mu numer telefonu, a on obiecał zadzwonić.

To wszystko trwało dwadzieścia cztery minuty i zostało zarejestrowane ukrytym w torebce minimagnetofonem. Nagranie odtworzono zarówno wtedy, gdy wpatrywano się w wyświetlaną na ścianie twarz, jak i wtedy, gdy adwokaci i ich eksperci analizowali taśmę. Pisemny raport zdarzenia figurował w aktach – sześć stron obserwacji obejmujący wszystko: od butów (stare nike'i), poprzez oddech (guma o zapachu cynamonowym), słownictwo (poziom college'u), po sposób, w jaki trzymał i gasił papierosa. W opinii kobiety, a miała w tej sprawie doświadczenie, nigdy nie palił.

Posłuchali jego miłego głosu, profesjonalnej prezentacji, uroczej paplaniny i uznali, że chłopak da się lubić. Okazał się inteligentny i nie był zaprzysięgłym wrogiem tytoniu. Nie pasował do ich modelu idealnego przysięgłego, ale warto było mieć na niego oko. Kłopot z Easterem, potencjalnym przysięgłym numer pięćdziesiąt sześć, polegał na tym, że bardzo mało o nim wiedzieli. Wylądował nad Zatoką Meksykańską nie wcześniej niż rok temu, ale nie mieli pojęcia, skąd się zjawiał. Jego przeszłość była całkowitą tajemnicą. Wynajmował mieszkanie osiem przecznic od sądu w Biloxi – mieli zdjęcia kamienicy – i na początku pracował jako kelner w kasynie przy plaży. Szybko awansował na krupiera rozdającego karty w blackjacka, ale po dwóch miesiącach odszedł.

Krótko po tym, jak stan Missisipi zalegalizował hazard,

na wybrzeżu w jedną noc wyrósł las kasyn, a fala nowej koniunktury runęła z siłą tsunami. Ze wszystkich stron zjawili się szukający pracy przybysze, tak więc nie narażając się na pomyłkę, można było założyć, że Nicholas Easter zjawił się w Biloxi z tego samego powodu co tysiące innych. Dziwne było tylko to, że tak szybko się zarejestrował na liście wyborców.

Jeździł garbusem rocznik 1969 i gdy już dokładnie przyjrano się twarzy Nicholasa, na ścianie wyświetlono zdjęcie samochodu. Też odkrycie! Chłopak miał dwadzieścia siedem lat, był kawalerem, niby-studentem – taki rzęch pasował do niego jak ulał. Żadnych naklejek na zderzakach. Żadnej wskazówki co do politycznych poglądów, społecznego zaangażowania czy kibicowania takiej albo innej drużynie. Nawet wyblakłej naklejki sprzedawcy. Dla nich samochód był czarną dziurą. Czarna dziura z biedą na dnie.

Operatorem projektora i najczęściej zabierającym głos był Carl Nussman, prawnik z Chicago, który rzucił praktykę adwokacką i otworzył agencję konsultancką. Za małą fortunę on i jego agencja mogli załatwić ławę przysięgłych. Zbierali dane, robili zdjęcia, nagrywali głosy, wysyłali, gdzie trzeba, blondynki w opiętych dzinsach. Carl i współnicy figlowali na obrzeżach prawa i etyki, ale nie dało się ich na niczym przyłapać. W gruncie rzeczy w robieniu zdjęć kandydatom na przysięgłych nie ma niczego nielegalnego czy nieetycznego. Pół roku temu przeprowadzili szczegółowe badania telefoniczne w hrabstwie Harrison, następne dwa miesiące temu i po miesiącu kolejne, by ocenić nastawienie społeczności w kwestiach dotyczących tytoniu i stworzyć model idealnej ławy przysięgłych. Zrobili wszystkie zdjęcia, które były do zrobienia, dokopali się każdego brudu, który był do wykopania. Mieli papiery na każdego kandydata.

Carl puścił w ruch pokrętko projektora i volkswagena zastąpiło nic niemówiące zdjęcie podupadłej kamienicy, w której Nicholas Easter miał swoją norę. Szybki ruch ręki i powrót

do twarzy.

– No więc w przypadku numeru pięćdziesiątego szóstego dysponujemy wyłącznie tymi trzema zdjęciami. – Carl sapnął z nutą frustracji, odwracając się i przesywając jadowitym wzrokiem fotografa, jednego z najętej armii szpicli, który wcześniej się bronił, że po prostu nie dał rady dopaść chłopaka, sam nie narażając się na wpadkę.

Teraz siedział pod ścianą w głębi, twarzą do długiego stołu adwokatów, aplikantów i ekspertów od przysięgłych. Niemożliwie się nudził i nie mógł się doczekać, kiedy to się skończy. Był piątek wieczór, dochodziło wpół do szóstej. Na tapecie numer pięćdziesiąty szósty, sto czterdzieści numerów w kolejce. Zapowiadał się paskudny weekend. Fotograf marzył o drinku.

Sześciu prawników w wymiętych koszulach z podwiniętymi rękami wypisywało niekończące się notatki, od czasu do czasu zerkając na twarz Nicholasa Eastera wysoko za plecami Carla. Wszelkiej maści eksperci dobierający przysięgłych – psychologowie, socjologowie, grafologowie, wykładowcy prawa i tak dalej – przerzucali pojedyncze kartki lub całe pliki wydruków. Nie mieli pewności co do Eastera. Kłamał i ukrywał swoją przeszłość, niemniej jednak na papierze i na ekranie wyglądał w porządku.

Może nie kłamał. Może zeszłego roku zaliczył tanie dwuletnie studia we wschodniej Arizonie i może po prostu to im umknęło.

Dajcie mu żyć, pomyślał fotograf, ale zachował to dla siebie. W tym pokoju pełnym doskonale wyedukowanych i świetnie ubranych mężczyzn był ostatnim człowiekiem, z którego zdaniem się liczone. Nie płacono mu za wygłoszenie opinii.

Carl odchrząknął i spiorunował fotografa jeszcze jednym spojrzeniem.

– Numer pięćdziesiąt siedem – rzucił.

Na ścianie zajaśniała spocona twarz młodej matki i przy-

najmniej dwóch obecnych zachichotało.

– Traci Wilkes – powiedział Carl takim tonem, jakby Traci już była dobrą znajomą. Dokumenty na stole nieco zmieniły położenie. – Trzydzieści trzy lata, zameżna, matka dwojga dzieci, żona lekarza, dwa ekskluzywne kluby, dwa kluby fitness, cała lista klubów towarzyskich.

Carl recytował dane z pamięci, nie przestając obsługiwać projektora. Zaczerwienioną twarz zastąpiło ujęcie truchtającej chodnikiem kobiety, wciśniętej w różową i czarną lycrę, w nieskazitelnych reebokach; biały daszek na czole nad najmodniejszymi sportowymi okularami przeciwsłonecznymi z powłoką antyodblaskową, długie włosy spięte w uroczy, idealny koński ogon. Pchała dostosowaną do joggingu spacerówkę z niemowlęciem w środku. Traci żyła po to, by dawać sobie w kość. Była opalona i w formie, ale nie tak szczupła, jak należałoby oczekiwać. Miała kilka grzesznych nawyków. Kolejne ujęcie w czarnym mercedesie kombi z dziećmi i psimi mordami wyglądającymi z każdego okna. Traci ładująca zakupy spożywcze do merca, Traci w tenisówkach innej marki i w opiętych szortach, wypisz, wymaluj żywy pomnik wiecznej tężyzny. Była wdzięcznym obiektem obserwacji, bo tak się uwijała, że padała z wyczerpania na twarz i nigdy nie miała dość czasu, by się rozejrzeć.

Carl przeleciał zdjęcia domu Wilkesów, przytłaczającej, trzypoziomowej podmiejskiej willi, oklejonej od parteru po dach szyldami *Lekarz*. Nie poświęcił im wiele czasu, zachowując najlepsze na koniec. Oto ponownie Traci, znów zlna potem, siedząca w parku pod drzewem, z dala od wszystkich, na wpół ukryta, jej designerski rower obok na trawniku, a ona – pali papierosa!

Fotograf uśmiechnął się głupawo. To było jego arcydzieło, ujęcie żoneczki lekarza ze stu metrów, ciągnącej po kryjomu dyma. Wcześniej nie miał pojęcia o nałogu Traci, akurat też kurzył przy kładce dla pieszych, gdy minęła go, zawzięcie pedałuując. Pół godziny włóczył się po parku, aż zobaczył ją

zsiadającą z roweru i sięgającą do torebki pod siodełkiem.

Atmosfera w pokoju na moment zelżała, gdy kontemplowano widok Traci pod drzewem.

– Można bez obaw powiedzieć, że warto postawić na numer pięćdziesiąt siedem – osądził wreszcie Carl. Odnotował to na luźnej kartce, sięgnął po kartonowy kubek i pociągnął łyk zimnej kawy. Oczywiście, że warto było stawiać na Traci Wilkes! Gdy adwokaci powódki żądali milionów, żona lekarza była wymarzoną przysięgłą. Carl marzył o samych żonach lekarzy, ale marzenia rzadko się spełniają. Fakt, że paliła, był zwykłą, skromną premią.

Numerem pięćdziesiątym ósmym był robotnik ze stoczni Ingalls w Pascagouli – lat pięćdziesiąt, biały, rozwodnik, działacz związkowy. Carl wyświetlił zdjęcie jego pick-upa marki Ford i miał przystąpić do omawiania życiorysu stoczniowca, gdy do pokoju wkroczył Rankin Fitch. Carl urwał. Prawnicy wyprostowali się jak struny i natychmiast zafascynowali się fordem. Z furją zapełniali liniowane notatniki, jakby nigdy więcej nie mieli ujrzeć podobnego pojazdu. Konsultanci niezwłocznie również chwycili długopisy i cały pokój pilnie notowali, wystrzegając się, by nie spojrzeć na przybysza.

Fitch wrócił. Fitch był w pokoju.

Powoli zamknął za sobą drzwi, ruszył do stołu i spiorunował wzrokiem każdego. Gorzej, niemal obnażył kły. Czarne oczy miał podpuchnięte. Głębokie zmarszczki na czole się pogłębiły. Szeroka pierś wznosiła się, opadała i przez kilka sekund Fitch jako jedyny w pokoju oddychał. Usta miał zacisnięte; jeśli je otwierał, to po to, by jeść i pić, czasem coś powiedzieć, nigdy nie po to, żeby się uśmiechnąć.

Był zły, jak zwykle, żadna nowość, bo facet nawet śpiąc, dawał upust wściekłości. Ale pytanie, czy teraz będzie kłął i groził, czy może ciskał czym podpadnie, czy może po prostu gotował się w środku. Z nim nigdy nie było wiadomo. Zatrzymał się przy krawędzi stołu, między dwoma młodymi prawnikami, młodszymi współpracownikami, zarabiającymi setki ty-

sięcy pracownikami agencji, którzy przebywali we własnym pokoju własnego budynku. Fitch natomiast był obcym z Waszyngtonu, intruzem, który warczał i ujadał w ich korytarzach już od miesiąca. Nie śmieli na niego spojrzeć.

– Który numer? – spytał.

– Pięćdziesiąty ósmy – szybko odparł Carl. Gdyby miał ogon, zamerdałby nim.

– Wracajcie do pięćdziesiątego szóstego – rozkazał Fitch i Carl szybko przewinął w tył, aż twarz Nicholasa Eastera znów zajaśniała na ścianie. Papiery na stole zaszeleściły.

– Co wiecie? – spytał Fitch.

– To samo – odpowiedział Carl, uciekając wzrokiem.

– No, wspaniale. Ile niewiadomych na sto dziewięćdziesiąt sześć?

– Osiem.

Fitch prychnął, wolno pokręcił głową i wszyscy oczekiwali wybuchu. Nie tym razem. Odczekał chwilę, by podkreślić wagę swoich słów, i gładząc siwiejącą, starannie ostrzyżoną capią bródkę, spojrzął na Carla.

– Ciągniecie do północy, wracacie rano na siódmą – powiedział. – W niedzielę to samo. – Obrócił swoje pękate ciało i opuścił pokój.

Drzwi trzasnęły. Wszystkim zrobiło się lżej i wszyscy – prawnicy, konsultanci od doboru przysięgłych, Carl – jak jeden mąż spojrzeli na zegarki. Właśnie rozkazano im spędzić w tym pokoju trzydzieści dziewięć z następnymi pięćdziesięciu trzech godzin, oglądać powiększenia twarzy, które już oglądali, zapamiętywać nazwiska, daty urodzenia i dane prawie dwustu ludzi.

I w żadnym zakątku tego pomieszczenia nikt nie miał najmniejszej wątpliwości, że wszyscy zrobią dokładnie to, co im kazano. Najmniejszej.



Fitch przeszedł na parter, gdzie napotkał José, swojego

szofera. José, potężny mężczyzna, nosił czarny garnitur, czarne kowbojskie buty i czarne okulary przeciwsłoneczne, które zdejmował tylko wtedy, gdy brał prysznic i spał. Fitch bez pukania otworzył drzwi i przerwał toczącą się od wielu godzin naradę. Czterech prawników i dobrany personel pomocniczy oglądali zarejestrowane na taśmach wideo pierwsze zeznania ich świadków, złożone w ramach czynności przygotowawczych. Taśma zatrzymała się sekundy przed tym, jak Fitch wtargnął do pokoju. Zamienił dwa słowa z jednym z prawników i wyszedł. José udał się za nim przez wąską bibliotekę do następnego korytarza, gdzie Fitch bezceremonialnie otworzył następne drzwi i wystraszył następną grupkę prawników.

Kancelaria Whitney & Cable & White liczyła osiemdziesięciu prawników i była największa na wybrzeżu stanu Missisipi. Fitch wybrał ją sam i dzięki temu wskazaniu miała zarobić liczone w milionach honoraria. Zanim jednak cokolwiek miała dostać, była skazana na tyranię i bezwzględność Rankina Fitcha.

Kiedy się upewnił, że wszyscy w budynku są świadomi jego obecności i dygoczą na myśl o jego przybyciu, wyszedł. Stał na chodniku, owiewany ciepłym październikowym powietrzem, i czekał na José. Trzy przecznice dalej, w pomieszczeniach biurowych na wyższych piętrach budynku, w którym kiedyś mieścił się bank, świeciły się światła. Wróg nadal pracował. Poupychani w różnych pomieszczeniach adwokaci strony powodowej spotykali się z ekspertami, oglądali ziarniste fotografie, robili rzeczy bardzo podobne do tych, które jego ludzie robili tutaj. Proces zaczynał się w poniedziałek od wyboru ławy przysięgłych i Fitch wiedział, że tamci też pocą się nad nazwiskami i twarzami i zachodzą w głowę, kim, do diabła, jest Nicholas Easter i skąd pochodzi. I Ramon Caro, Lucas Miller, Andrew Lamb, Barbara Furrow i Delores DeBoe. Kim są ci ludzie? Tylko na takim zadupiu jak stan Missisipi mogą czekać na człowieka do tego stopnia nieaktualne listy kandydatów na przysięgłych. Przed tą sprawą Fitch kie-

rował obroną w ośmiu procesach, w ośmiu różnych stanach. Stanach, w których używano komputerów, listy aktualizowano i gdzie odbierając od woźnego sądowego spis kandydatów na przysięgłych, nie trzeba było łamać sobie głowy, czy któryś z nich wyzionął ducha, czy nie.

Wpatrywał się bez wyrazu w dalekie światła i zastanawiał, jak te chciwe rekiny rozdziela pieniądze, jeśli przypadkiem wygrają. Jak, na Boga, dojdą do zgody, rozszarpując spływające krwią ścierwo? Proces to harce w porównaniu z podrzynaniem gardeł, do którego dojdzie, jeśli dostaną werdykt po swojej myśli i łupy.

Nienawidził ich. Splunął na chodnik i zapalił papierosa, ściskając go mocno w grubych palcach.

José podjechał do krawężnika wynajętym lśniącym suburbanem z zaciemnianymi szybami. Fitch jak zwykle zajął miejsce obok kierowcy. Szofer też spojrzął na mijane biura prawników wroga, ale się nie odezwał, bo szef nie cierpiał częściej gadaniny. Minęli gmach sądu w Biloxi i na wpół opuszczony, tani market, w którym Fitch i współpracownicy mieli tajne biura ze świeżymi trocinami po sklejce na podłodze i tanimi wypożyczonymi meblami.

Przy plaży skręcili na zachód w dziewięćdziesiątkę i wolno posuwali się w gęstym ruchu. Był piątkowy wieczór i kasyna pękały w szwach od ludzi, którzy przepuszczali pieniądze przeznaczone na życie, snując wielkie plany, że jutro się odkują. Powoli wyjechali z Biloxi, minęli Gulfport, Long Beach i Pass Christian. Potem odbili od wybrzeża i niebawem mijali budkę ochrony nieopodal laguny.

Rozdział 2

Dom „przy plaży” był nowoczesny, rozległy i nie stał przy żadnej plaży. Pomost z białych desek ginał w stojących, zarosłych wodach zatoki, ale najbliższa plaża była trzy kilometry dalej. Przy pomoście cumowała niewielka łódź rybacka. Dom wynajęto od nowoorleańskiego nafcjarza – trzy miesiące, gotówka, zero pytań. Tymczasowo służył za azyl, kryjówkę i sypialnię kilku bardzo ważnym ludziom.

Na wiszącym nad wodą tarasie czterech dżentelmenów zabijało czas przy szklaneczkach, prowadząc luźną rozmowę i czekając na wizytę. Chociaż interesy narzucały im role zawziętych wrogów, po południu rozegrali partię golfa na standardowym polu i zjedli krewetki oraz ostrygi z grilla. Teraz popijali i spoglądali na czarne wody w dole. Szlag ich trafiał, że w piątek wieczór muszą tkwić nad Zatoką Meksykańską, daleko od domów.

Ale że mieli na głowie sprawy zawodowe, wielkiej wagi, byli skazani na rozejm i golf niemal sprawił im przyjemność. Każdy z tych czterech mężczyzn był prezesem wielkiej spółki. Każda znajdowała się na publikowanej przez „Fortune” liście pięciuset największych przedsiębiorstw, wszystkie były notowane na giełdzie. Przychody najmniejszej sięgały sześciuset milionów dolarów, największej – czterech miliardów. Przynosiły tłuste dywidendy, rekordowe zyski, uszczęśliwiały akcjonariuszy i miały prezesów, którzy za swoje dokonania

zarabiali miliony.

Każda była koncernem z licznymi oddziałami o najprzeróżniejszym profilu produkcji, miała gigantyczny budżet na reklamę i tak dobraną nazwę, by odwrócić uwagę od faktu, że w istocie nie jest niczym innym jak producentem wyrobów tytoniowych. Każda z tej czwórki, Wielkiej Czwórki, jak nazywano je w kręgach finansowych, mogła prześledzić swoje korzenie sięgające do dziewiętnastowiecznych handlarzy tytoniem w obu Karolinach i Wirginii. Wyrabiały papierosy – razem dziewięćdziesiąt osiem procent wszystkich produkowanych w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Wyrabiały też takie artykuły, jak napoje alkoholowe, chrupki i farby do włosów, ale gdy się pokopało głębiej, okazywało się, że prawdziwe dochody przynoszą papierosy. I mimo fuzji, zmian nazw i różnych wysiłków, by się wybielić w oczach społeczeństwa, istota działalności Wielkiej Czwórki została starannie wyodrębniona i potępiona przez organizacje konsumenckie, lekarzy, nawet polityków.

A teraz mieli na karku prawników. Tak, jak kraj długi i szeroki, spadkobiercy zmarłych ciągalich ich po sądach i żądali wielkich sum, bo, jak twierdzili, papierosy powodują raka płuc. Jak do tej pory, szesnaście procesów i Wielki Tytoń wygrał je wszystkie, ale napór rósł. I wystarczy, że ława przysięgłych przyzna kilka milionów jakiejś wdowie, a piekło rozpęta się na dobre. Prawnicy procesowi wpadną w szała autorklasy, w dzień i w nocy będą błagać palaczy i spadkobierców palaczy, żeby się zgłaszali i dochodzili roszczeń, bo dochodzenie roszczeń to jest dopiero miód.

Gdy ci czterej mężczyźni byli sami, z zasady rozmawiali o innych sprawach, lecz alkohol rozwiązał im języki. Gorycz dała o sobie znać. Oparci o balustradę tarasu, wpatrzeni w wodę zaczęli przeklinać prawników i amerykański system odszkodowań. Każda z ich spółek wydała w Waszyngtonie miliony na grupy usiłujące go zreformować, by poważne koncerny, właśnie takie jak ich, były chronione w sporach są-

dowych. Potrzebowały osłony przed bezsensownymi atakami domniemyanych ofiar. Ale chyba wszystko na nic. Bo oto wyładowali na zadupiu Missisipi, żeby znosić kolejny proces.

W reakcji na rosnący atak z sądów Wielka Czwórka zebrała pulę pieniędzy, nazwaną po prostu Funduszem. Nie miał górnej granicy, żadnego śladu w papierach. Nie istniał. Sięgano do niego, gdy w grę wchodziła taktyka brzytwą po oczach; pozwalał angażować najlepszych i najbardziej bezwzględnych prawników, najbardziej czarujących ekspertów i najbardziej wyrafinowanych konsultantów pomagających wybrać ławę przysięgłych. Miał wszechstronne zastosowanie. We własnym gronie czasem zadawali sobie pytanie, czy po szesnastu wygranych jest coś takiego, czego Fundusz by nie załatwił. Każdy jego uczestnik wyprowadzał z koncertu trzy miliony rocznie i tak długo nimi lawirował, aż lądowały tam gdzie trzeba. Żaden księgowy liczykrupa, żaden audytor, żaden urząd skarbowy nigdy nawet nie zważał funduszu na machinacje.

Zarządzał nim Rankin Fitch, człowiek, którego grupowo nie cierpieli, niemniej jednak słuchali go i nawet mu się podporządkowywali, jeśli była taka konieczność. I czekali na niego. Zbierali się, gdy tego od nich żądał. Rozjeżdżali się i wracali na rozkaz. Tak długo, jak wygrywał, tolerowali, że są na jego gwizdnięcie. Fitch sterował ośmioma procesami i nie przegrał ani jednego. Doprowadził do unieważnienia dwóch postępowań sądowych, ale oczywiście nie było na to dowodu.

Na tarasie pojawił się asystent z tacą drinków sporządzonych dokładnie według zamówienia. Sięgnięto po nie, gdy ktoś powiedział:

– Jest Fitch. – Szklanki jednocześnie poszły w górę; wszyscy czterej zgodnie przełknęli solidne drinki.

Szybko przeszli do salonu, podczas gdy Fitch wysiadł z samochodu, który José zaparkował przy drzwiach wejściowych. Asystent podał mu wodę mineralną bez lodu. Fitch nie pił, chociaż we wcześniejszej fazie życia wchłonął tyle, że było

tego dość, aby rzeczna barka miała się na czym bujać. Nie podziękował asystentowi, potraktował go jak powietrze; podszedł do sztucznego kominka i czekał, aż czterech mężczyzn zbierze się wokół na kanapach. Inny asystent podsunął mu tacę z pozostałymi po kolacji krewetkami i ostrygami, ale Fitch odprawił go ruchem ręki. Plotka głosiła, że czasem je, lecz była niepotwierdzona. Dowody mieli przed oczami – szeroką pierś i jeszcze szerszy obwód pasa, fałdy pod kozią bródką, przysadzistą figurę. Ale nosił ciemne garnitury, zapinał guziki i operował ogromnym ciałem tyleż sprawnie, co godnie.

– Krótka aktualizacja – powiedział, gdy uznał, że zgromadzone szychy miały dość czasu na umoszczenie się. – Cały zespół naszej strony pracuje bez przerwy i będzie pracować przez weekend. Analiza składu ławy przysięgłych odbywa się zgodnie z harmonogramem. Prawnicy procesowi w gotowości. Wszyscy świadkowie przygotowani, wszyscy eksperci już w mieście. Jak do tej pory nie wydarzyło się nic niezwykłego.

Nastąpiła pauza, nie dłuższa niż oddech, gdy czekali, by upewnić się, że Fitch na razie skończył.

– Co z tymi przysięgłymi? – spytał D. Martin Jankle, najbardziej nerwowy z czwórki. Zarządzał ZT, kiedyś Zjednoczony Tytoń, który po marketingowym wybielaniu używał nazwy Pynex. W nagłówku pozwu procesu widniało „Wood przeciwko Pynexowi”, tak więc koło ruletki usadziło Jankle’a na rozżarzonych węglach. Zeszłego roku Pynex osiągnął prawie dwa miliardy obrotu; był numerem trzy. Ale, niestety, w ostatnim kwartale zgromadził największą rezerwę gotówkową ze wszystkich czterech koncernów. Termin procesu wypadł fatalnie. Odrobina pecha, i ława przysięgłych mogła niebawem oglądać świetne zestawienia finansowe Pynexu, piękne kolumny jak od linijki, wykazujące osiemset milionów dolarów nadwyżki gotówkowej.

– Pracujemy nad nimi – powiedział Fitch. – Znamy opinie ośmiu. Z tego czterech może nie żyć albo wyjechało. Pozo-

stałych czterech żyje i powinno być z poniedziałek w sądzie.

– Jeden drań może sparszywić całą ławę – stwierdził Jankle. Zanim dołączył do ZT, był prawnikiem korporacyjnym w Louisville i nigdy nie omieszkiał przypomnieć Fitchowi, że zna się lepiej na prawie niż pozostali trzej.

– Wiem o tym – warknął Fitch.

– Musimy znać tych ludzi.

– Robimy, co w naszej mocy. Nic na to nie poradzimy, że tutejsze listy kandydatów na przysięgłych nie są tak aktualne jak w innych stanach.

Jankle pociągnął długi łyk i zmierzył Fitcha wzrokiem. W gruncie rzeczy facet był tylko osiłkiem do zaprowadzania porządku. Gdzie mu tam do poziomu prezesa zarządu poważnej spółki! Nieważne, jaką etykietkę mu przylepiono – konsultanta, agenta, zleceniodawcy – w rzeczywistości pracował dla nich. Owszem, w tej chwili miał jaką taką siłę przebicia; lubił się puszyć i warczeć, bo naciskał guziki, ale, do diabła, był tylko wynoszonym pod niebiosa osiłkiem! Jankle zachował jednak te przemyślenia dla siebie.

– Coś jeszcze? – spytał szorstko Fitch, jakby dociekania Jankle’a były dziełem bezmózgowca i skoro nie miał do powiedzenia niczego, co przyniosłoby jakikolwiek efekt, powinien zwyczajnie trzymać gębę na kłódkę.

– Ufasz tym prawnikom? – spytał Jankle nie po raz pierwszy.

– Już to przerabialiśmy – odpowiedział Fitch.

– Możemy na pewno przerobić to jeszcze raz, jeśli zechcę.

– Czemu tak się nimi przejmujesz? – spytał Fitch.

– Bo... no... bo są stąd.

– Rozumiem. I myślisz, że byłoby mądrze sprowadzić prawników z Nowego Jorku, żeby rozmawiali z ławą? Może kogoś z Bostonu?

– Nie, po prostu chodzi o to, że, no, oni nigdy nie bronili w sprawie tytoniowej.

– Na wybrzeżu stanu Missisipi nigdy wcześniej nie było

sprawy tytoniowej. To chyba dobrze, prawda?

– Oni nie dają mi spokoju, to wszystko.

– Wynajęliśmy najlepszych w tej okolicy – powiedział Fitch.

– Czemu pracują tak tanio?

– Tanio! W zeszłym tygodniu koszty nie dawały ci spokoju. Teraz nasi prawnicy żądają za mało. Zdecyduj się.

– Zeszłego roku płaciliśmy prawnikom z Pittsburgha czterysta dolców za godzinę. Ci goście pracują za dwieście. To mnie niepokoi.

Fitch spojrział krzywo na Luthera Vandemeera, prezesa Trelco.

– Coś mi umyka? – zapytał. – Czy on mówi poważnie? Ładujemy w tę sprawę pięć milionów dolców, a on się boi, że zaciskam pasa. – Fitch wskazał Jankle’a.

Vandemeer uśmiechnął się i pociągnął drinka.

– W Oklahomie wydałeś sześć milionów – zauważył Jankle.

– I wygraliśmy. Nie przypominam sobie żadnych narzekañ, kiedy ława przysięgłych wydała werdykt.

– Nie narzekam. Ja tylko wyrażam obawę.

– Wspaniale! Wracam do biura, zbieram do kupy wszystkich prawników i mówię im, że moi klienci są oburzeni wysokością rachunków. Powiem: „Słuchajcie, panowie, wiem, że bogacie się naszym kosztem, ale za mało. Moi klienci życzą sobie, żebyście wystawiali wyższe rachunki, jasne? Wycycykajcie nas. Wy, chłopcy, pracujecie za tanio”. Podoba się wam ten pomysł?

– Wyluzuj, Martin – odezwał się Vandemeer. – Proces jeszcze się nie zaczął. Zanim stąd wyjedziemy, będziemy mieli dość naszych własnych prawników.

– No, ale ten proces jest inny. Wszyscy to wiemy.

Słowa Jankle’a rozplynęły się w pomieszczeniu, gdy podniósł szklankę. Jako jedyny z tej czwórki miał problem alkoholowy. Pół roku temu koncern cichaczem wysłał go na

odwyk, ale stres związany z procesem był zbyt silny. Fitch, sam były alkoholik, wiedział, że Jankle ma kłopot. Za kilka tygodni czekały go zeznania.

I jakby Fitch nie miał dość na głowie, doszło pytanie, jak doholować D. Martina Jankle'a trzeźwego do wyznaczonego terminu. Nienawidził go za jego słabość.

– Zakładam, że prawnicy strony powodowej są przygotowani? – spytał inny prezes.

– Słuszne założenie – odparł Fitch, wzduszając ramionami. – Jest ich dość.

Osiem, według ostatnich obliczeń. Osiem z największych kancelarii w kraju specjalizujących się w roszczeniach odszkodowawczych; które podobno wyłożyły milion dolarów każda, żeby sfinansować ostateczną rozgrywkę z branżą tytoniową. Wybrały powódkę, wdowę po jakimś Jacobie L. Woodzie. Wybrały forum, wybrzeże Zatoki Meksykańskiej w Missisipi, dlatego że ten stan miał piękne regulacje prawne w zakresie roszczeń odszkodowawczych i dlatego, że sędziowie przysięgli w Biloxi bywali hojni. Nie wybrały sędziego, ale nie mogły mieć większego fartu. Sędzia Frederick Harkin stawał w sądzie jako pełnomocnik stron powodowych, zanim po ataku serca wylądował na fotelu sędziego.

To nie była zwykła sprawa tytoniowa i wszyscy w tym salonie o tym wiedzieli.

– Ile wydali?

– Nie udostępniono mi informacji w tej sprawie – burknął Fitch. – Słyszeliśmy plotki, że ich fundusz wojenny może nie być tak wielki, jak głosi fama. Może jest jakiś mały problem ze ściąganiem przedpłaty od paru kancelarii. Ale wydali miliony. A kilkanaście organizacji konsumenckich jest pod ręką, gotowych służyć radą.

Jankle zagrzechotał lodem w szklance i osuszył ją. To był jego czwarty drink. W pokoju na chwilę zapadła cisza; Fitch stał i czekał, a prezesi wbijali wzrok w dywan.

– Jak długo to będzie trwało? – spytał wreszcie Jankle.